Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Fot. B. Jarogniew-Litwiński.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

NR. 28 (632). 11 LIPCA 1931 R.

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru. Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



KRONIKA ŁOWIECKA.

II.

Nowe pojmowanie myśliwstwa — z aparatem na stanowisko. — Dwie metody. — Miejsca dla nowoczesnych zagadnień. — Próbki dotychczasowych wyczynów. — Definjujemy. — O reformę na przyszłych wystawach. — Niech mówią przeciwnicy. — Rozprawiam się już z zarzutami. — Piękne myśliwstwo przyszłości...

Poniżej kilka słów o fotografji. Oczywiście — w myśliwskiem znaczeniu i zastosowaniu. Większość z nas, polujących, zaopatrzona bywa na wyprawę łowiecką w aparaty fotograficzne, a czasem nawet filmowe. Godzi się, aby temu nowemu składnikowi obieży myśliwskiej trochę uwagi i kilka słów poświęcić. Tembardziej, że weszły tu w grę, nie na żarty, względy konkurencyjne — strzelba i aparat w wielu wypadkach już się sobie w całej pełni przeciwstawiły, już czasem dawna wyłączność strzeleckiego aktu ustępuje miejsca cichemu i dyskretnemu wtargnięciu myśliwego w zielony świat, by tylko okiem kamery dokonać kilka „strzałów" i trofea, innych niż zwykłe wymiarów zdobyć na większą radość i jako piękny dokument dla braci polującej.

Poprzez szereg artykułów (patrz m. i. „**Myśliwstwo Przyszłości** n. 44 Łowca P. z r. 1929 oraz **Książka Bengt Berga** n. 11 z r. 1930) miałem sposobność wykazać się gorącym entuzjastą fotografji myśliwskiej i rzecznikiem powolnego choćby, niemniej jednak bardzo stanowczego propagowania wśród miłośników łowiectwa tej nowej metody nasycania ich namiętności, aż póki strzelb nie zastąpią ostatecznie aparaty w kołach tych zwłaszcza myśliwych, którzy łowiectwu oddają się z prawdziwego amatorstwa i umiłowania, bez takich czy innych, snobistycznych czy ekonomicznych wyrachowań.

Rozpatrzmy dziś tę sprawę bliżej. W kompleksie zagadnień nowoczesnej i postępującej etyki i estetyki łowiectwa należy się jej wreszcie wysunięcie na plan właściwy.

Przedewszystkiem więc należy zacząć od podziału, od oddzielenia tego wszystkiego, co z pozoru może do tematu należy, a w rzeczywistości nic z nim niemama wspólnego. Na fotografję myśliwską patrzymy z punktu widzenia **przedmiotu** fotografowanego. Tylko **zwierzyna,** tylko **przyroda, żywcem podpatrzona** i ujęta, a powtórzona w światłocieniach zdjęć, niby świadectwo prawdziwości spotkania i jego barwy, wejdzie w rozważaniach naszych w rachubę.

Wyłączymy z nich przeto wiele z tego, co dotąd w większej części stanowiło o ich istocie. Każdy przyzna, że czas wreszcie skończyć z wiecznie powtarzanem ujmowaniem przedmiotu myślistwa à la

martwa natura, albo obrazy mistrzów renesansu, Pięknie przybrane bażanty, jakby na jakiej wystawie sklepowej, strzelba po boku, pies po drugiej stronie, jeszcze tylko brak winogron czy pomarańczy dla ozdoby — oto próbka wdzięcznego potraktowania tematu. Częściej jeszcze, dla dogodzenia miłości własnej (i na pamiątkę, nie przeczę) sam łowca figuruje na zdjęciu, „z psem wiernym u nóg" a wokoło roztasowane trofea — całość naprzód i dobrze obmyślana, gdzie miejsce na strzelbę, a gdzie na uśmiech zwycięski. Tego rodzaju fotografja myśliwska, nie potrzebujemy chyba kłaść na to nacisku, nie przedstawia dla naszego podejścia żadnej, najmniejszej wartości.

Inna jest jeszcze kategorja, podobnie bezwartościowa. To zdjęcia trick owe. Nic prostszego, jak powiesić w zagajniku łeb jelenia wypchany i zrobiwszy zdjęcie, podpisać: „Jeleń, wyglądający z gęstwiny." Wygląda jednak zazwyczaj tak podejrzanie, że łatwo pomiarkować podstęp. Do tego rodzaju należą, stosowane dla filmów ułatwienia walk, i tak naprzykład tygrysa z bawołem, czy innym bykiem, kiedy oba stworzenia zamknięte w ogrodzeniu, dobrze zamaskowanem, zmuszone są na oczach objektywów stoczyć bój śmiertelny, który potem wzruszy tłum i natchnie go podziwem, dla nieustraszonej odwagi operatora, z narażeniem życia, w głębi dżungli, po wielu miesiącach... i t. d. Nam nie o to chodzi. Rozumiem, że można działać z zasadzki, ale uprzednie przygotowanie zdarzeń dla zdjęć, przypomina mi te polowania, na których przewidujący gospodarz w klatkach trzymane lisy puszcza w zagajnik, kiedy naganka ruszyła. Jeszcze tylko dla większego efektu potrzeba listów polecających, przywiązanych poczciwym liskom do ogona — i orkiestry, aby z leśnych polanek przygrywała zabawie. Rozumiem, że się można nocą przyczaić na którymś przesmyku i magnezjowym nabojem oślepić na chwilę przechodzącego zwierza dla dokonania zdjęcia — to już będzie myślistwo, tamte ma się do myślistwa jak tir aux pigeons do podchodów na rykowisku. Sumienność wybitnych myśliwców-fotografów posunięta bywa tak daleko, że najmniejszym nawet retuszem nie chcą poprawiać zdjęcia, zdobytego niby trofeum na łowieckiej wyprawie. Byłoby to podobne do myśliwego, który preparatorowi każe przyprawiać do wieńcy po kilka odnóg, żeby lepsze robiły wrażenie.

Mnóstwo jest więc zastrzeżeń i osobne zupełnie prawidła, których ustaleniem pobieżnem zajęliśmy się dzisiaj, aby określić to nowe pojęcie fotografji myśliwskiej, które niema mieć nic wspólnego z fotografowaniem myśliwych i scen z polowań. Oczywiście, dla filmowca zwłaszcza, jako poddział, nazwijmy go etnograficznym, czy folklorystycznym, wejdą w naszą dziedzinę zdjęcia pędzącej naganki, dźwiękowo ciekawe i barwne, myśliwego w strzale i t. p. — przedewszystkiem jednak i to należy podkreślić, będzie to **polowanie z aparatem na zwierzynę**, tak, jak dotąd poluje się ze strzelbą, polowanie z podchodu, czy podjazdu, na stanowisku, czy nawet z pod naganki. (Chodzi nam przypuśćmy o zdjęcie rysia: zamiast strzelców ustawimy na linji operatorów — raz na dziesięć, jak na polowaniu, ryś się pokaże z pewnością, zwłaszcza, jeśli go przedtem na ponowie otropiono, tylko tutaj polowanie minie bez strzału, chociaż wiele jest danych, że trofeów nierównie piękniejszych dostarczy i wspomnienie wiecznie żywe, trwałe.

Mamy już u nas w Polsce przedstawicieli tego nowego łowiectwa. Jednym z nich, a sądząc po zdjęciach, jakie w zeszłym roku w Łowcu Polskim publikował, najtęższym, jest Włodzimierz Korsak. Trofea tego znanego pisarza i myśliwego, jakie na łamach niniejszego pisma ukazały się swego czasu, są bez kwestji bardziej wartościowe niż najpiękniejsze wieńce na białych czaszkach i łby, i grupy zwierzyny, zastygłe w formie, jaką ich zewnętrznym powłokom nadał mniej lub więcej zdolny preparator.

I dlatego o reformę wołam. O zmianę nastawienia i zwrócenia uwagi. O zachętę, aby szerokim potokiem szła z miarodajnych źródeł. Na najbliższych wystawach łowieckich osobnym działem winna stanąć fotografja myśliwska, **przed wszystkiem innem.** Najwyższe nagrody należą się bezwzględnie myśliwym, którzy ten najszlachetniejszy i najtrudniejszy, a tak bardzo wdzięczny rodzaj polowania uprawiają. Poparcie ich usiłowań, właściwa ocena ich zasług — oto, wydaje mi się, obowiązki czynników, sprawami myślistwa kierujących. Po mojej stronie stanie niewątpliwie wielu w Polsce myśliwych. Aby jednak do realizacji wymienionych postulatów doprowadzić, trzeba niech wypowiedzą się także przeciwnicy tej nowej hierarchji w ocenie trofeów i zasług myśliwskich. Przypatrzmy się wzajem naszym argumentom, oceńmy ich wartość, ciężar gatunkowy, pożytek. Z porównań niejedna wyniknie nauka. Proszę więc o materjał!

Nie chcąc wszakże, aby mnie od początku źle rozumiano, uprzedzę jeden, zasadniczy zarzut. Społeczne i ekonomiczne znaczenie myślistwa mogłoby rzekomo stracić na wadze przy zbyt szerokiem stosowaniu fotografji, — przy zbyt powszechnym „abstrakcyjnym" stosunku myśliwych do zwierzyny, pojęcie myśliwego-fotografa mogłoby pod pewnym względem przytłumić to najważniejsze: myśliwego-hodowcy, dla którego działalności konieczne jest przyjęcie i stosowanie strzału...

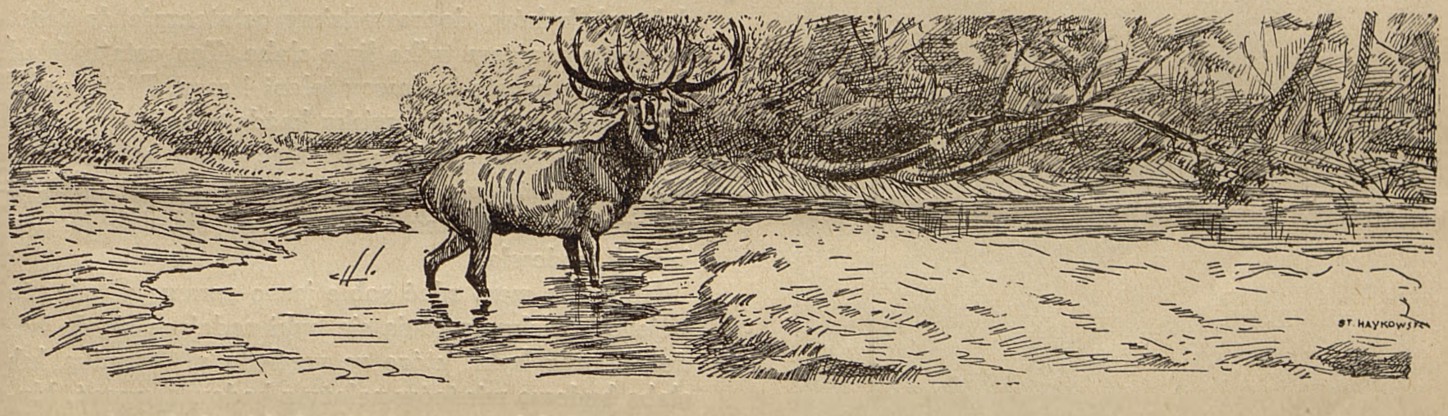
Wydaje mi się rzeczą aż nazbyt jasną i zupełnie wyraźną dla każdego, który sprawom myślistwa nieco uwagi poświęca, że 1) o zupełnem wyeliminowaniu strzelby przez aparaty w interesie tegoż myślistwa mowy być nie może; 2) że na terenach, gdzie gospodarstwo myśliwskie jest rozwinięte, odstrzał jest koniecznością logiczną i w niczem ujmy człowiekowi nie przynoszącą; 3) że na tych samych terenach, gdzie poszczególne gatunki mnożą się i dosięgają liczb nieraz ogromnych, zadowalanie pasji myśliwskiej przy pomocy aparatu fotograficznego byłoby absurdem, już choćby dlatego, że zdobycie zdjęć nie może we wspomnianych warunkach przedstawiać żadnych trudności i że zdjęcia takie będą stosunkowo banalne i stąd mało warte; 4) że wreszcie fotografja myśliwska, kulturalne zastosowanie najnowszych zdobyczy wiedzy, może się dokonywać i spełniać z sensem w tych zwłaszcza okolicznościach, w których dotychczasowe metody odstrzału pożytku i zadowolenia już nie przynoszą, zagrażają natomiast bytowi gatunku i wprowadzają zgrzyt, albo zamęt w rzadki

obraz dzikich zespołów fauny, traktowanych w świecie cywilizowanym jako pomnik raczej, niż jako kopalnia, wystawiona na każdy brutalny zabieg niszczącej eksploatacji.

Myślistwo przyszłości teren swój będzie miało mniej w zagospodarowanych rewirach, chociaż i tutaj wdzięczne pole znajdzie, raczej w puszczy, czy na bagnach dzikich, gdzie łatwiej o spotkanie niezwykłe i nieszablonowe, gdzie rzadsze bywają gatunki, które strzelec już winien szanować, a których zazwyczaj nie zna tam właśnie, skąd przywieźć można trofea nieprzeczuwane, choć nie tak znowu do zdobycia trudne przy odpowiedniem wyposażeniu myśliwca w nowoczesną broń (czysto optyczną!). O satysfakcji, jakie daje tego rodzaju myślistwo w obliczu trofeów, zebranych potem w bukiety najpiękniejszych zdjęć, niema potrzeby mówić. Świadectwa radości i dumy jego prekursów, zawarte są w książkach, opisujących wrażenia z ich wspomnień myśliwskich. Mówiłem o nich zbyt często, by na tem miejscu jeszcze do tematu rzeczonego wracać. Jak dotąd ten właśnie rodzaj łowiectwa uczy nas i pozwala poznawać całe przestrzenie świata, zgłębionego już wprawdzie ze strzelbą na ramieniu, ale obcego jeszcze człowiekowi, którego nie zadowala pozorne tylko zetknięcie się z jego cudownym i niewyczerpanym obszarem. A chyba pozornie jeno jest głęboki stosunek strzelca do przedmiotu przyrody, strzelca, który bądź-co-bądź przecina ostro bliską czasem zapowiedź wzajemnego nawskroś przeniknięcia...

Czyżby tedy zupełnie pozbawione wartości społecznych miało się okazać to nowe stosowanie myślistwa? Sądzę, że tak nie jest. Właśnie to: uczy nas i pozwala poznawać! Rozpowszechnienie jego owoców w postaci zdjęć najpiękniejszych, które przecież przenikną dość szybko do pism, przy dużym popycie na tego rodzaju tematy, wychowa w młodem pokoleniu poza znajomością zwierza i pewne poczucie szacunku, jakie każde piękno narzuca człowiekowi nawet podświadomie. Dojdziemy może tą drogą do tej powszechności kultu i wiedzy o przyrodzie, jaka nas wszystkich, do ziemi przywiązanych, zbliży do niej i odnowi na innej podstawie i w innych ramach, niż te kruche, jątrzące się, a przepełnione krwawą od wybuchów treścią konfliktów społecznych i międzynarodowych.

ALEKSANDER JANTA-POŁCZYŃSKI.



W SPRAWIE PRZYSZŁOŚCI JELENIA W POLSCE.

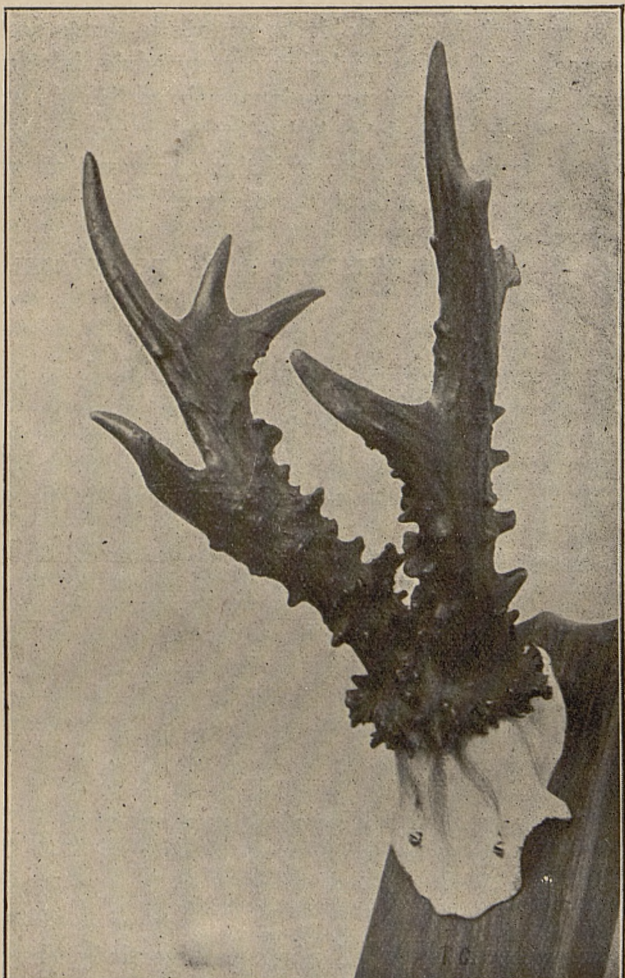
(Zob. Nr. 27.).

Niewątpliwie każdy myśliwy, przyjechawszy nawet na kilka dni w Karpaty, może w dowolnej porze roku zabić jelenia. Myśliwy ten musi mieć jednak odpowiednio zorganizowane myślistwo. A więc przedewszystkiem dużą ilość pierwszorzędnych, znających się na rzeczy strzelców (strażników łowieckich), dla których życie jeleni w rewirze nie przedstawiałoby żadnych tajemnic. Pytam jednak skąd wziąć tych strzelców na ogromne obszary Karpat? Zapewne z czasem można ich wyszkolić. Czy jednak znajdą się myśliwi, którzyby mogli łożyć na takie myślistwo? Jeśli się nawet tacy znajdą, to śmiem twierdzić, że nie będą oni chcieli polować po za rykowiskiem. I słusznie. Chcą oni rykowiska nietylko dla wrażeń estetycznych, ale również dlatego. że przy zindywidualizowaniu polowania, pomimo towarzyszących niekiedy strzelców, daje im ono możność rozwinięcia talentów myśliwskich. Daje im możność, przy pomocy tych talentów i doświadczenia, dokonania samodzielnego wyczynu (nie „rekordu" naturalnie) myśliwskiego. Myśliwy na rykowisku jest samodzielnym łowcą i od niego tylko zależy by tę samodzielność zachować sobie w dowolnym stopniu. Nie jest on tym, który ma określoną sztukę odstrzelić, a tym, który może jakąś sztukę upolować. Jest to w mojem rozumieniu wielka różnica. Polując po za rykowiskiem ten sam myśliwy będzie całkowicie zdany na strzelca, który będzie go musiał „za rękę" podprowadzić do byka, względnie, co na jedno wychodzi, będzie go musiał postawić na odpowiedniem stanowisku. Chyba, że myśliwy, przebywając długie okresy czasu w łowisku, sam będzie miał możność wypracować sobie tego byka. Ale takich, którzyby mieli tę możność jest niewielu. Są nimi głównie leśnicy, pracujący w Karpatach. Tym trzeba dać możność polowania i poza rykowiskiem.

Streszczając się, powiem krótko: polowanie na rykowisku nie zagraża przyszłości jelenia, jeśli zaś ten typ polowania zostanie wzbroniony, to jeleniowi w Karpatach grozi zagłada, tak, jak groziła zagłada kozicy w Tatrach.

Osobno należy rozpatrzyć sprawę, jaki wpływ

może mieć polowanie podczas rykowiska na racjonalną hodowlę jelenia. Przeciwnicy tego polowania podnoszą, że na rykowisku nie padają te byki, które winny być odstrzelone. Twierdzą oni, że polowanie to musi doprowadzić do degeneracji jeleni karpackich. Nie mogę się na to zgodzić. Strzelając na rykowisku można tak samo odstrzelić, lub też pozostawić do hodowli danego byka, jak strzelając po za rykowiskiem. Jeśli mi ktoś twierdzi, że najsilniejsze byki najsłabiej się odzywają, to odpowiem, że nie jest to regułą i że znam z własnej praktyki kapitalne byki, górujące swym głosem nad innemi. Z drugiej strony, jeśli taki kapitalny byk, dzięki swemu milczącemu usposobieniu uchroni się od kuli raz, drugi i trzeci,



Parostki rogacza, zabitego przez p. T. Glinkę. Fot. „Studjo" Szczekociny.

to na hodowlę wpłynąć to może właśnie dodatnio. Faktem jest natomiast, że na rykowisku padają byki bardzo rozmaite. Wytrawni, dobrzy myśliwi zabijają jednak takie byki, które warte są kuli. Że na rykowisku padają, w ostatnie lata niestety zbyt często, młode byki przedwcześnie, to inna sprawa. Należy ją naturalnie uregulować. Nie mogę się jednak zgodzić, by środkiem zapobiegawczym było tu zamknięcie polowania na rykowisku. Kto strzela, mając nieograniczoną możność w tym kierunku, wszystko, co mu się pod kulę nawinie, ten będzie strzelał tak zarówno na rykowisku, jak i po za niem.

A teraz jedno nieporozumienie. Czytam, że byka zabić trzeba wtenczas, gdy spełnił swą rolę rozpłodową. To znaczy kiedy? Odpowiadają mi — po rykowisku. Po którem jednak? Po tem, co było, czy po tem, które będzie w roku przyszłym? Ten szereg pytań prowadzić musi do konkluzji, że byka zabić należy wówczas, gdy nie jest już zdolny do skoku, względnie wówczas, gdy stwierdzonem zostanie, że potomstwo jego jest nic nie warte. Teza, której nie da się obronić. To też na zwalczanie jej szkoda słów.

Drugie. Czytam, że w hodowli zachować trzeba byki, które są dobremi reproduktorami. Słusznie. Jak jednak rozpoznać te byki? Hodowla zwierząt domowych nauczyła nas, że operując dowolnie materjałem wybranym otrzymujemy niekiedy rezultaty ujemne. Eksterjer reproduktora lub matki może być złudny. Tembardziej więc nie należy sobie w zbyt dużym stopniu przypisywać możności regulowania hodowli w wolnej przyrodzie, gdzie ingerencja hodowcy jest bardzo ograniczona.

Jeśli jednak w hodowli zwierząt domowych, mimo tych pomyłek osiąga się dodatnie rezultaty, to można je osiągnąć i w łowiskach. Tylko procent pomyłek będzie tu wielokrotnie większy. Jednak przez odstrzeliwanie byków złych i przez danie możności spełnienia powinności rozpłodowych bykom dobrym, w rezultacie dojdziemy do poprawienia eksterjeru. Przeciwnie przez odstrzeliwanie w łowisku tylko dobrych byków, doprowadzimy ostatecznie do tego, że pozostaną tam tylko linje słabe. Ten ostatni błąd popełniają często hodowcy jeleni i sarn. Dlatego też lepiej jest strzelać w łowisku każdego byka, bez specjalnego wyboru, aniżeli strzelać tylko byki dobre. W ten sposób nie poprawi się wprawdzie jakości zwierzostanu, ale też i nie popsuje się. Nie jest to jednak hodowla.

Hodowca musi zdać sobie jasno sprawę z tego, że w jego łowisku znajdują się byki nadajace się do hodowli, oraz byki, które ze względu na brzydką lub słabą budowę wieńców należy z hodowli usunąć. Musi on też dobrze rozróżniać byki młode, ale zapowiadające się dobrze, od byków o zasadniczo słabych wieńcach. Te ostatnie należy odstrzeliwać. Pierwsze zaś winno się dopuszczać do najlepszego rozwoju wieńców i wtenczas dopiero strzelać. Wątpliwości, że kapitalny byk mógłby jeszcze przez pewien okres czasu spełniać swe powinności reproduktora, nie powinny przyczyniać hodowcy zmartwienia. Powinności te spełni jego potomstwo. Pamiętać tylko trzeba, by stosunek był prawidłowy. Ten naturalnie należy regulować nietylko przez zachowanie w rewirze odpowiedniej ilości byków, ale również i przez odstrzeliwanie starych, jałowych łań.

Zkolei przejdę do sprawy strzelania jeleni po za rykowiskiem. Już z tego, co wyżej powiedziałem wynika, że jestem zwolennikiem indywidualnego strzelania jeleni, a więc czy to na rykowisku, czy też po za niem, ale w każdym razie polowania na określoną sztukę, względnie strzelanie do sztuki po skonstatowaniu, że jest ona z tych, czy innych względów warta kuli. Natomiast jestem przeciwnikiem polowań nagonkowych, w których strzelający tylko w wyjątkowo przyjaznych warunkach ma możność oceniania, do jakiej sztuki strzela. Nie mówię tu naturalnie o tego typu nagonce, gdzie jeden człowiek, czy też kilku ludzi, przy pomocy specjalnej taktyki,

wypiera powoli jelenie na określone stanowisko. Mówię o nagonce, która na linję myśliwych pędzi znajdujące się w miocie jelenie. Takie polowania nie powinny być uprawiane, ani w stosunku do byków, ani też w stosunku do łań. Wyjątkowo tylko polowanie takie jest dopuszczalne tam, gdzie poziom wyhodowanych byków jest bardzo wysoki. Łowisk takich niema jednak w Polsce.

Przechodzę do terminów ochronnych. Nasza ustawa łowiecka wychodzi ze stanowiska, że jelenie (byki) można strzelać tylko w okresie rykowiska. Stąd termin ochronny, który trwa od 1 listopada do 1 września. Okres, w którym wolno polować na jelenie wynosi więc dwa miesiące. Stojąc na stanowisku, że strzał do byka powinien być dopuszczony nietylko w okresie rykowiska, dochodzimy do wniosku, że okres ten jest zbyt krótki.

Wiadomą jest rzeczą, że jelenie nie zawsze ryczą w swych stałych ostojach. Z wielu miejscowości na rykowisko przenoszą się gdzieindziej. Na skutek tego, hodowca, który hoduje jelenie przez cały rok, przy obecnej ustawie łowieckiej, jest pozbawiony możności polowania. Otóż ustawa powinna dać mu tą możność. Ustawa winna jednak bronić jelenie przed strzelaniem w czasie wędrówek. Sądzę, że określenie czasu polowania na byki od 10 września do 15 października, a potem od 1 grudnia do 1 lutego, winno zadowolić wszystkich. W ten sposób jelenie wędrujące na rykowisko mają po drodze zapewnione bezpieczeństwo, a mają je również i po skończonem rykowisku: Tak długą przerwę od rykowiska, do „polowania zimowego" proponuję dlatego, by jednak czas, w którym wolno strzelać jelenie nie był zbyt długi. Wprawdzie właścicielami, czy dzierżawcami rewirów jelenich są przeważnie dobrzy, kulturalni myśliwi, jednak... strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Co się tyczy łań, to pozwolenia na ich odstrzał winny opiewać na miesiące: czerwiec i lipiec, a potem grudzień i styczeń.

Dalsze ustawowe zabezpieczenie jelenia widziałbym w określeniu minimum obszaru, na którym wolno jelenie strzelać. Obecna ustawa łowiecka oznacza to minimum na 1000 ha, ale tylko dla województw: stanisławowskiego i lwowskiego. Oznacza je więc tylko dla rewirów górskich, zapomniawszy, nawiasem mówiąc, o województwie krakowskiem.

Otóż jestem zdania, że i minimum obszaru jest zbyt małe i terytorja, dla których to minimum oznaczono, są również zbyt ograniczone. Dla rewirów górskich (województwa: lwowskie, stanisławowskie i krakowskiej określiłbym jako minimum, na którem wolno polować na jelenie na 3000 ha. Dla pozostałej Polski oznaczyłbym je na 500 ha. Koniecznem też jest dodanie komentarza, objaśniającego, że jeśli w ręku jednego hodowcy znajdzie się dwa lub kilka zarejestrowanych obwodów łowieckich, leżących w bezpośredniem sąsiedztwie (graniczących ze sobą), a stanowiących razem wyżej oznaczone minimum, to po uprzedniem zarejestrowaniu takiego zbiorowego obwodu wolno jest na nim polować na jelenie.

Te rygory ustawowe, przy ustanowieniu możliwie najwyższych kar za ich przekroczenie, przy odpowiednio energicznej działalności władz administracyjnych i ostrych wyrokach sądowych, zabezpieczyłyby w dostatecznej mierze przyszłość jelenia w Polsce.

Dalsze sprawy przerzuciłbym na Ministerstwo Rolnictwa, które jest właścicielem największych rewirów jelenich w Polsce. Ministerstwo, wydzierżawiając te rewiry, winno w kontraktach dzierżawnych wyraźnie zastrzec odpowiednio prawidłową gospodarkę, pod rygorem zerwania kontraktu. Przedewszystkiem zaś należy na dzierżawców włożyć obowiązek przedstawiania co roku wieńców wszystkich zabitych jeleni. Niewątpliwie najlepiej byłoby wystawiać te wieńce na dorocznych pokazach trofeów myśliwskich. Nie wątpię bowiem, że Polski Związek Stowarzyszek Łowieckich będzie urządzał regularnie te pokazy.

Wzamian dałbym jednak myśliwym możność możliwie automatycznego przedłużania dzierżawy rewirów jelenich na dalsze okresy dzierżawne. Dałoby to bezwątpienia wyniki jaknajbardziej dodatnie.

Rzucono myśl założenia specjalnego towarzystwa ochrony jelenia, na wzór istniejącego towarzystwa ochrony żubra. Sądzę jednak, że towarzystwo takie nie jest koniecznie potrzebne. Jeśli będzie dobra ustawa, jeśli Ministerstwo Rolnictwa z jednej strony, a organizacje łowieckie z drugiej wezmą do serca sprawę jelenia, to przyszłość jego w Polsce można będzie uważać za zapewnioną. Naturalnie, konieczne jest współdziałanie tych instytucyj. Zwoływane co roku konferencje, złożone z ludzi kompetentnych, mogłyby doskonale czuwać nad całokształtem sprawy.

JANUSZ DOMANIEWSKI.



„PARK ZAJĘCZY"
W LASACH EDWARDA HR. RACZYŃSKIEGO W DĘBICY.

(Zob. Nr. 27).

Paliki.

Paliki służą do zawieszenia sieci, podczas łapania (fot. 5) i są wykonane z sosnowych tyczek wys. 1.3



fot. 5.

m. średn. 2.5 cm. zakończone okuciem, podobnie jak tyczki w miernictwie używane, co ułatwia szybkie wbicie palika w ziemię. Aby je łatwiej nosić i niegubić, wiąże się je po 10 szt. rzemykami, które są na danej tyczce, u góry i u dołu przymocowane; oprócz tego na 10 cm. od wierzchołka, w każdą tyczkę wbity jest gwóźdź prostopadle do tyczki (a nie pod kątem, gdyż utrudnia lekkie spadanie siatki). Główka gwoździa musi być obciętą.

Ponieważ łapanie wykonuje się przeważnie w miesiącach zimowych (styczeń, luty) przeto w tych miejscach, gdzie są duże śniegi, paliki łatwo wbić w ziemię, w wypadkach, gdy ziemia jest zamarzniętą, należy mieć drąg żelazny do robienia otworów, w które dopiero zabija się paliki. O tem nie można zapominać, gdyż brak takiego drążka, uniemożliwia, przy silnych mrozach łapanie zajęcy.

Do kompletu należą jeszcze 1 — 3 paliki mniejsze lecz silniejsze o wys. 40 cm., średn. 5 — 6 cm. mocno i silnie okute, które się wbija na początku i końcu sieci zawieszonej, a które służą do naciągnięcia sieci.

Skrzynki.

Skrzynka transportowa na schwytane zające, najwygodniejsza okazała się taka, jak jest przedstawiona na rys. obok.

Zrobione są z desek (lekkich) świerk, jodła gr. 13 mm., na dno może być 20 mm., z których zbija się skrzynkę, zostawiając maleńkie szpary dla cyrkulacji powietrza. Na górnej stronie w 3/4 szer. robi się jedną deskę wysuwalną (6 rys.) wewnątrz skrzynki znajdują się przegrody od 2 — 6-ciu, najwygodniej robić przy większych transportach, skrzynki o 5 przedziałach (4 samice 1 samiec) szer. 17 — 18 cm. dług. = się szer. skrzynki 50 cm. wys. 20 cm.

Skrzynki muszą być dobrze zbite, jednak w ten sposób, aby żaden koniec gwoździ nie wystawał do wewnątrz, gdyż groziłoby to poranieniem zajęcy! Wspomniane szpary, muszą być wąskie 1 — 2 cm. przy szerszych, zając chcąc się z niewoli wydostać, wygryza dziurę i może się b. łatwo udusić.

Deski z wewnętrznej strony można wyheblować, jednak nie jest to zasadniczy warunek.

Mając opisany sprzęt do łapania zajęcy — przygotowany, można przystąpić do chwytania zajęcy.

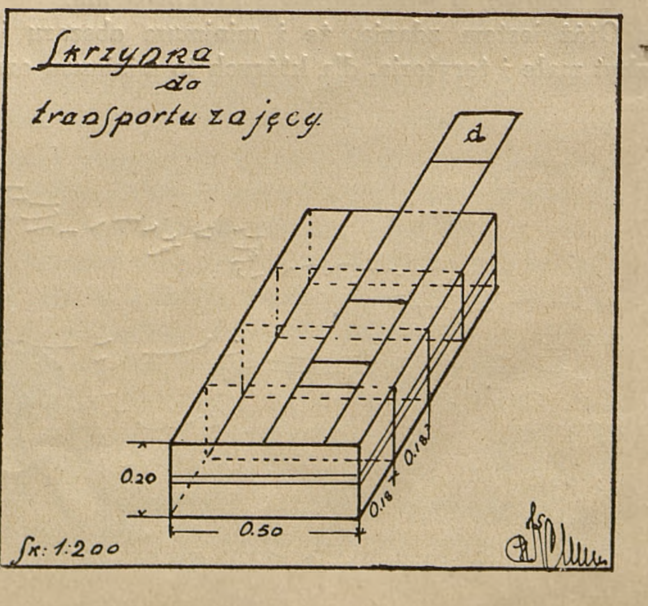
Łapanie zajęcy w lesie i w polu.

Łapanie zajęcy powinno się z reguły wykonywać, o ile warunki na to pozwolą, w dnie spokojne, bez dużego wiatru (w polu), gdyż wiatr silny strąca siatkę z zawieszonych palików i rezultat zawsze jest lepszy, gdyż ludzie i zające, dobrze chodzą.

W lesie przebieg łowienia jest następujący:

Plan polowania, przygotowuje się dokładnie, jak na normalne polowanie, a różnica polega na tem, że w miejscu myśliwych, na środku linji, zawiesza się sieć, na wyżej opisanych palikach, które zabija się od strony pędzonego miotu, bo inaczej przeszkadzałyby opadnięciu siatki w odległości od 5—8 kroków. Sieć wiesza się wolno i na ziemi jest podjęta w kierunku miotu. Miot jest obstawiony z 3 stron, gęściej: bliżej początku i końca sieci, następnie prowadzi się zwykłe pędzenie z odnośnymi sygnałami dla nagonki i służby leśnej.

Przed siecią, od strony miotu ustawia się za zasłoną (krzaki, drzewko) chłopców, przeznaczonych do wybierania zajęcy schwyconych, przyczem każdy z nich, w zależności od ilości zajęcy, ma jeden lub dwa worki w które wkłada schwycone zające, zawiązując każdorazowo worek, aby zające nie ucie-



kły. Do jednego worka można dawać najwyżej 2 zające.

Aczkolwiek teorja twierdzi, że tylko ujęcie zająca za słuchy nie grozi jego zdrowiu, to praktyka wykazała, że przy mroźnych dniach, nie w sposób jest utrzymać zająca za słuchy, gdyż on zawsze się wyrwie!



fot. 6.

Zające schwytane w sieć należy brać za tylne skoki i odrazu, jednym ruchem unieść w górę, wówczas jest b. łatwem wyplątanie go z siatki i wsadzenie do worka, a z worka — po zbadaniu płci — do skrzynki.

Nagonka zwykle powinna iść cicho, dopiero na jakieś 100 metrów od siatki, markować energiczniej, wówczas zając z większą siłą uderza w sieć i łatwiej się łapie.

Po skończonym miocie, chłopcy z workami przychodzą do prowadzącego polowanie, wyjmując zające sposobem opisanym i po zbadaniu płci, wkładają je do skrzynek.

Mioty z reguły, czy to w polu, czy w lesie, bierze się podwójne!

W polu.

W polu, gdzie mamy teren otwarty i urozmaicony zagonami, postępuje się trochę inaczej i łapanie jest trudniejsze, chociaż rezultaty są większe.

Po zrobieniu dokładnego planu polowania, zamówieniu naganki, przyjeżdża się na teren, dzieląc nagonkę na 2 połowy, przydzielając każdej odpowiednią ilość gajowych do utrzymania porządku, prawidłowego chodzenia i respektowania znaków (trąbka) kierownika polowania, znaczenie których przed rozpoczęciem polowania dokładnie się wyjaśnia; następnie rozwija się sieć, którą nagonka bierze do rąk wraz z palikami i zachodzi na miejsce wskazane przez kierownika polow. fot. 6. sieć należy zawiesić prostopadle do biegnących zagonów, czy to w podorankach czy też w oziminach, przyczem paliki, o ile możności zabijać w bruzdy dla lepszego przylegania sieci do ziemi, a to dlatego, że pędzone zające lepiej idą w sieć bruzdami, jak w poprzek zagonów; drugą rzeczą, na którą trzeba zważać, jest aby zając nie potrzebował iść pod słońce, gdyż tego nie lubi, a chociaż w kopnie zawsze, głowę ma skierowaną do słońca, to po wypędzeniu go, czasami zrobi skok pod słońce, lecz następnie uchodzi, mając słońce po za sobą.

Po zawieszeniu sieci i podwinięciu w kierunku miotu w wyżej opisany sposób, rozpuszcza się nagonkę, z jednego i drugiego końca w ten sposób, jak to czynimy w kotle, przyczem przy końcach siatki pozostawia się nagonki więcej, ustawiając ich gęściej, gdyż na boki, zające najwięcej biją, szczególnie, te które zobaczą nagle siatkę.

Po objęciu terenu przeznaczonego i złączeniu się skrzydeł oraz odpowiednich sygnałów — podkowa zamknięta — nagonka rusza wolnym krokiem w kierunku siatki, zaś boki tej podkowy zgęszczają się w kierunku końców siatki. Uprzednio są wybrani chłopcy, o ile możności jedni i ci sami, do wyplątywania zajęcy złapanych w sieć, a którzy są z workami rozstawieni tuż przed siatką od strony miotu (leżąc), ilość chłopców uzależnia się od spodziewanej ilości złapanych zajęcy, a więc w terenach obfitujących w większą ilość zajęcy, więcej chłopców i odwrotnie.

Podczas dni mroźnych, zające jak zwykle dosiadują słabo, zatem nagonka powinna iść zupełnie cicho, wystarczy od czasu do czasu, specjalnie w podorywach, uderzyć laską o zmarznięte bryły ziemi. Wszelkie hałasy powinny być wzbronione, albowiem zające słysząc je, a szczególnie samice o które przeważnie nam chodzi, dosiadują twardo i dopiero z pod nóg nagonki, wyskakują — uciekając w tył.

Siatki nie należy zbytnio naciągać, lecz lepiej jeżeli ona wolno wisi, gdyż zając łatwo się od niej odbija, a gdy nawet siatka spadnie, źle się zawinie i zając wyplątuje się z siatki, nim chłopiec do niego dobiegnie.



fot. 7.

Gdy zając minie chłopca leżącego przy siatce, chłopiec w tym momencie powinien go spłoszyć, aby ostrzej szedł na sieć i w tej chwili dobiega do złapanego zająca, (Fot. 7.) wyplątuje go, sposobem opisanym, wsadza do worka, zawiesza sieć i kładzie się na swojem miejscu, oczekując następnej serji.

W wypadku wpadnięcia większej ilości zajęcy w sieć, prowadzący polowanie, daje znak trąbką — stać — umożliwiając wyplątanie zajęcy z sieci i zawieszenia takowej z powrotem. W ten sposób, po ukończenie miotu, chłopcy ze złapanemi zającami przychodzą do prowadzącego, następuje zbadanie płci i wkładanie zajęcy do skrzynek. O ile tylko rozchodzi się o łapanie samic, to samce wypuszcza się w teren.

Technika chwytania zajęcy polega na tem, że zając uderza prawie że w środek siatki i siłą bezwładności (rozpędu) ściąga ją z gwoździków, na których jest zawieszona, siatka go przykrywa, a przez nagłe podrzucanie się, zaplątuje się w nią mocniej i jest schwytany.

Następnie bierze się drugi miot, a po ukończeniu cała nagonka zabiera siatkę i paliki, zachodząc cicho na następne stanowisko.

Zające do skrzynki należy w ten sposób wkładać, że najpierw wyciąga się deskę (d) całkowicie, stopniowo ją zasuwając, po włożeniu zajęcy w odnośne przegródki, a po całkowitem napełnieniu skrzynki zającami i zasunięciu deski (d) przybija się ją na końcu i początku 2 gwoździkami, pisząc adres o ile zające mają być wysłane na zamówienie, oraz płeć zajęcy.

BADANIE PŁCI.

Jedną z najtrudniejszych a zarazem najważniejszych rzeczy, jest badanie płci, a dla tych, którzy tego nie wykonywali — wszystkie zające będą samicami!

W normalnych warunkach, po oznakach zewnętrznych jest bardzo trudno oznaczyć płeć zająca, a to z następujących powodów:

jądra są zupełnie przyschnięte, a członek zwrócony do tyłu, tak że niedoświadczony badacz napewno weźmie samca za samicę, jak już na początku — wspominałem, dopiero podczas samych parkotów, wyżej wymienione organa są w normalnym stanie.

Schwytanego zająca należy wziąć za tylne skoki, kosmyk przycisnąć do grzbietu, a części rodne na-



fot. 8.

ciska się dwoma palcami fot. 8. i wtedy jest bardzo łatwo rozpoznać samca, gdyż po naciśnięciu — penis ukazuje się na zewnątrz.

Od wielkości, koloru, nabrzmienia — części rodnych samicy, można wnioskować: czy jest kotna, parkała się, czy też nie; u samca można suponować o wieku.

Odcienie barwy pod szyją i na samym karku w związku z płcią bardzo często zawodzą.

Na zakończenie tego działu dodam, że zając dobrze wytrzymuje dwudniowy transport, bez pożywienia. Wrzucając mu do skrzynki trochę marchwi, która zastępuje wodę i sypiąc nieco owsa, wytrzymuje dłuższy transport.

D. c. n. HENRYK KEMMER.

WSPOMNIENIA MYŚLIWEGO - EMIGRANTA.

PSKOWICZE.

(Szkice z zimowych polowań w Rosji).

Poświęcam sławnej pamięci A. N. Milukowa.
W duszy jego budziły się
mnóstwa smutnych wspomnień......

Nigdzie w Europie niema takiego polowania na czworonogi i ptactwo jak w Rosji. Nie mówię już o Syberji, Uralu, Kaukazie i Azji, ale w europejskiej Rosji, w jej środkowych guberniach dla myśliwego pozostało dużo różnej zwierzyny. Wszędzie w Europie myślistwo posiada znaczenie sportu. A w Rosji — proszę spróbować nazwać „rzeczywistego" myśliwego sportsmenem, to się conajmniej obrazi.

Stosownie do ilości i rozmaitości zwierzyny, w zależności od klimatu oraz innych warunków naturalnych, egzystowały i dotąd jeszcze egzystują w Rosji takie rodzaje polowań, o których w Europie a nawet w innych częściach świata zaledwie słyszano.

Do liczby tych polowań należy zaliczyć zimowe polowania na czworonogi z „pskowiczami".

Co to za jedni ci „pskowicze".

Gubernia pskowska wogóle, a powiaty porchowski i wielkołucki w szczególności od dawien dawna słyną ze znakomitych myśliwych-zawodowców specjalistów od zwierza drapieżnego.

W drugiej połowie zeszłego stulecia, a mianowicie

w 1862 roku w Moskwie powstało pierwsze w Rosji T-wo myśliwskie. Na pierwszem ogólnem polowaniu był obecny Cesarz Aleksander II, który zabił niewielkiego niedźwiedzia, darowując go T-wu. Stąd T-wo posiadło prawo do tytułu „T-wa Myśliwskiego im. Cesarza Aleksandra II". Niedźwiedź ów został wypchany, a jego podobizna stanowiła odtąd znak T-wa.

Następnie w Moskwie i po całej Rosji powstaje sporo towarzystw myśliwskich, ale „Pierwsze Moskiewskie T-wo im. Ces. Aleksandra II" pozostało jako najliczniejsze i najwspanialsze zarówno dzięki swej pracy jak i zawdzięczając temu, że wśród członków T-wa znajdowała się spora ilość członków rodziny cesarskiej. Samych wilków do 1917 r. zabito w T-wie przeszło 2000.

Otóż Towarzystwo to postanowiło zorganizować prawidłowe polowania na „bicz mieszkańców wiosek" — na wilki. W tym celu zaangażowano na stałe, w charakterze strzelców chłopów-myśliwych zawodowców z powiatu porchowskiego i wielkołuckiego w gub. pskowskiej. Ci zaczęli stosować swoje sposoby podczas zimowych polowań i tego rodzaju polowania otrzymały nazwę polowań „z pskowiczami" albo z „łukaszami". Ta ostatnia nazwa pochodzi od nazwiska pierwszego pskowicza Iwana Łukasza. Inne towarzystwa a także i pojedyńczy myśliwi zaczęli sprowadzać pskowiczów.

Główne zadanie pskowiczów polega na przygotowaniu polowania po śniegu.

Najpierw opiszę jak się takie polowanie na drapieżniki odbywa: na wilki, lisy i rysie, a przedewszystkiem na wilki.

Wszystko to — zwierzyna zmieniająca miejsca: wilki i rysie rodzinami, a lis (do lutego — okresu cieczki) pojedyńczo, ale w tem samem miejscu nie nocują. Trzeba je zmusić do nocowania a raczej do „dniowania" w pewnej niewielkiej odległości o promieniu kilkowiorstowym, — inaczej mogą się przenieść z określonego miejsca o 30 — 50 wiorst (wilki i rysie). Pożądane jest, aby zwierz zaspokoiwszy w nocy głód spał w dzień a nie chodził. W tym celu, dowiedziawszy się od stróży i chłopów gdzie się znajduje gniazdo wilcze, albo którędy chodzą lisy, kładzie się niedalego od tych miejsc przynętę, opodal od siedzib ludzkich, przeważnie krowę lub konia.

Ryś padliny nie rusza i dlatego na rysie poluje się przeważnie przypadkowo. Drapieżniki czasami przychodzą do przynęty następnej nocy, czasami zaś dopiero za kilka dni.

Rankiem pskowicze sprawdzają tropy czy oraz ile sztuk zwierza było.

Gniazdo wilcze (z przelatkami przeszłorocznemi) składające się z 10 — 11 sztuk zjada konia doszczętnie w ciągu nocy.

Podkarmianie trwa (dla wilków) 1—2 tygodnie czasami dłużej dopóki zwierz nie przyzwyczai się, że tutaj zawsze znajduje pożywienie i oduczy się odchodzić daleko na dzień.

W przeddzień polowania pskowicze komunikują się z T-wem (telegraf. lub telefonicznie) i w zależności od tego czy wilki były w nocy na przynęcie czy też nie wyznacza się polowanie lub się odkłada.

Zazwyczaj, gdy polowanie naznacza się „napewno", pskowicze doczekawszy do pełnego dnia, gdy nażarty zwierz mocno (względnie) śpi, idą za śladem rodziny wilczej.

Tu dopiero przejawia się cały artyzm i wiedza tych tropicieli. Przedewszystkiem trzeba rozplątać gmatwaninę śladów starych i świeżych, co jest b. trudne przy braku ponowy.

Koło przynęty pskowicze zacierają niekiedy stare ślady, ale dalej liczne tropy krzyżują się i plączą, a gniazdo wilcze dzieli się czasami na kilka partyj. Prócz tego — wilk jest b. czujny, mądry i chytry. Tylko w bajkach i opowiadaniach lis jest chytrzejszy od wilka. W rzeczywistości wilk pod tym względem stoi znacznie wyżej od lisa. Lis jest chytry, że tak powiem „po babsku", a wilk posiada jeszcze i „męskie" walory. To zwierz — poważny. Proszę odcyfrować tylko na śniegu księgę polowań wilczego stada na jakieś zwierzę (w tej liczbie i na lisa).

Następnie, idąc po śniegu na nartach pskowicze nie powinni podchodzić za blisko do zwierzyny gdyż jest ona i podczas snu czujna — a jeszcze gorzej — wprost na nią się natknąć.

Dlatego też, tropiąc ostrożnie pskowicze zdaleka badają miejsce i decydują na mocy doświadczenia, gdzie właściwie zwierzyna może leżeć.

Przybliżywszy się do takiego miejsca — legowiska pskowicze (zwykle 2 — 3) rozchodzą się z tropów w różne strony i okrążają je. O ile, po spotkaniu się na drugim końcu średnicy opisanego w ten sposób koła okaże się, że nikt nie znalazł świeżych tropów „wyjściowych" — znaczy się zwierzyna „otropiona".

Należy posiadać wiele artyzmu i doświadczenia, aby nie „obciąć" zbyt małym kołem t. z. nie przejść zbyt blisko od zwierzyny co spłoszy ją z legowiska i odpędzi z danego miejsca niekiedy o 10 wiorst. Zatoczyć znów zanadto duże koło też jest źle ze względów technicznych.

Wilki i rysie należą do najostrożniejszych zwierząt.

Dlatego przy polowaniu na nie trzeba zataczać jaknajwiększy krąg. Lis jest mniej ostrożny i krąg dla lisa robi się zawsze mniejszy.

Zatoczony krąg pskowicze obwieszają fladrami. Są to, na cienkim sznurze, dochodzącym do kilku wiorst długości — przyszyte kawałki czerwonego i żółtego materjału w odległości 12 werszków jeden od drugiego w wymiarach 8 na 4 werszki. Sznur (przymocowuje się) zaczepia się do krzaków i drzew na wysokości 1 arszyna od ziemi. Wiatr porusza te chorągiewki. Wtedy — już gotowe: zwierz, o ile się nawet zbudzi, za nic nie przejdzie przez flandry, boi się. Tak może przebywać wewnątrz fladr przez dobę, dwie, trzy, dopóki głód nie zwycięży strachu.

Bywały wypadki, że lisy tygodniami przebywały w takiem zaczarowanem kole — przy warunku — że pskowicze wrzucali do wewnątrz zabite ptactwo.

Wedle liczby przybyłych myśliwych przygotowuje się stanowiska, które rozdziela się loteryjnie. Stanowiska wyznacza się w ten sposób, aby wiatr był od zwierzyny: myśliwych rozstawia się na małej cięciwie kręgu — przy zachowaniu zupełnej ciszy.

Przed i w czasie pędzenia niewolno rozmawiać, palić, ani zachowywać się głośno.

Na wyznaczonem stanowisku każdy myśliwy wybiera sobie po cichu zakrycie od strony miotu — poprostu krzaczek lub pień drzewa.

Wszyscy myśliwi są ubrani w jasno-szare kostjumy, zlewające się z tłem śniegu.

Podchodzić w miot, zmieniać miejsce zebrania się myśliwym pod rygorem pieniężnej kary: ale przed rozpoczęciem naganki strzelcy mogą cichutko komunikować się z sąsiadami.

Każdy myśliwy posiada prawo strzelania tylko w obrębie swego stanowiska, granice zaś określa się wspólnie z sąsiadującymi myśliwymi już przy zajmowaniu stanowisk, albo przed ruszeniem naganki.

Strzał na cudze stanowisko pociąga za sobą karę, a zabita na cudzem zwierzyna, zostaje skonfiskowana na rzecz T-wa i nie wchodzi w liczbę prawidłowo upolowanej.

Gdy zwierz przeszedł za linję strzelców wolno doń strzelać z każdego miejsca.

Wszelkie nieporozumienia i spory zarówno z tego wynikające powodu, jakoteż i inne, rozstrzyga bezapelacyjnie dyżurujący na polowaniu dyrektor T-wa.

Naganiacze, których prowadzą pskowicze i których niekiedy bywa kilkudziesięciu rozstawiają się po linji koła, nie zbliżając się jednak zbytnio do myśliwych. W dodatku między naganiaczami często bywają nietylko dorośli i podrostki, ale i chłopcy oraz dziewczęta 12-letnie. Wszelkie opowiadania, jakoby polowanie na wilki z naganką przedstawiało niebezpieczeństwo dla myśliwych lub naganiaczy, należą do bajek.

Wilk wogóle, a podczas polowania w szczególności, boi się człowieka: sam osobiście widziałem nieraz gdy wilka cofającego się na naganke pędził z powrotem okrzykami „a gdzie, a gdzie" oraz machaniem rąk jedenasto lub dwunastoletni chłopiec lub dziewczyna.

Bliżej do myśliwych, po linji koła, stawia się „milczków", którzy mają za zadanie nie gnać zwierzyny i nie zabardzo ją straszyć krzykiem, a tylko odpędzać od przerwania się w bok, gdy się zbliży do myśliwych.

Niekiedy w braku naganiaczy zamiast „milczków" poprostu wiesza się na krzakach i drzewach, na widocznych miejscach ciemne ubranie.

Gdy już wszyscy naganiacze, po rozstawieniu na miejsca, zostaną sprawdzeni przez pskowiczów, jeden z nich (z pskowiczów) będący naprzeciwko myśliwych — na drugim biegunie koła — okrzykiem „paszooł" daje znak i naganka z krzykiem oraz hałasem zaczyna się poruszać w stronę myśliwych, pędząc na nich zwierzynę.

Ten rodzaj polowań należy do najbardziej interesujących, emocjonujących i efektownych i nie napróżno różni „znakomici cudzoziemcy" myśliwi usiłowali choć raz być na takiem polowaniu.

Przecież na żadnem zimowem polowaniu nie bywa tyle zwierzyny w sznurach (fladrach), jak przy łowach na wilki, — nie strzela się tyle razy i niema szans na to, że każdy może zabić; nie wymaga się dużej uwagi, zimnej krwi i sztuki strzelania.

Od chwili zajęcia stanowiska do ruszenia naganki mija 30 — 60 minut, zależnie od wielkości koła. Jest to czas ogromnie nużącego wyczekiwania. Nie można się za wiele poruszać i trzeba być ciągle w pogotowiu dlatego, że zwierz słysząc lekkie nawet szmery w otoczeniu, może i przed naganką wstać i wyjść na stanowiska.

Przed wami i wokoło dziki las w całej piękności swej zimowej szaty. Natężona cisza bywa tylko niekiedy przerywana skrzeczeniem niespokojnej sójki. Do samych waszych nóg, niewiadomo skąd, przykica głupi zając, jakby wiedział, że teraz strzelać do niego nie będą.

Innych stanowisk przeważnie nie widać i zdaje się, że jesteście sami w tej głuszy.

Nie zawsze, skutkiem braku czasu oraz dla innych przyczyn pskowicze zdążą obciągnąć krąg fladrami, ograniczając się do obcięcia go tropem nart, co już w mniejszym stopniu zatrzymuje zwierza w kole i nie rzadko pozwala na wyjście z kręgu zanim się rozstawi nagankę.

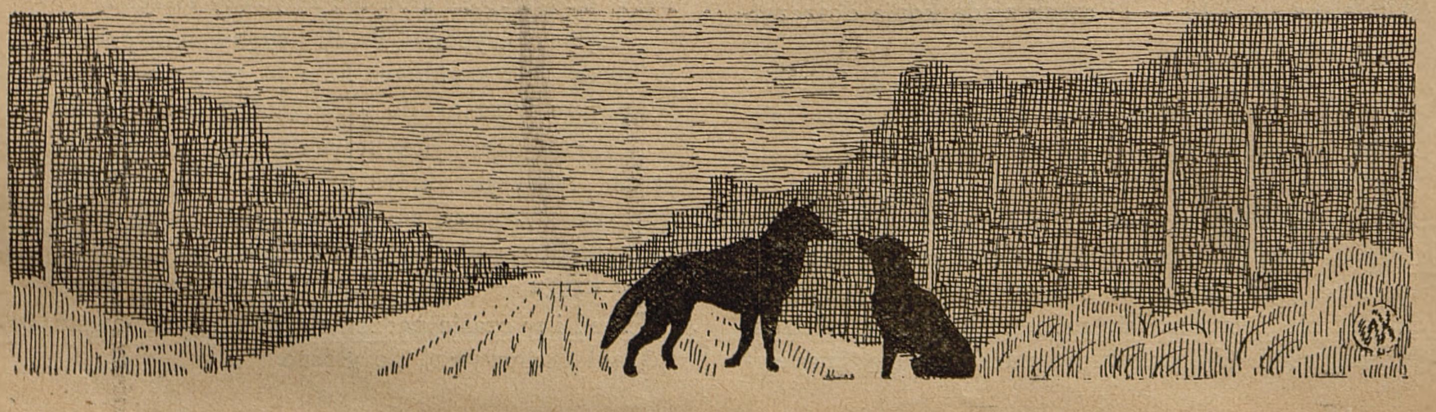
Pskowicze, obchodząc krąg z naganiaczami oczywiście wykrywają to i wtedy myśliwi po długiem i nużącem oczekiwaniu zobaczą smutnie powracających pskowiczów z raportem „wilki wyszedłszy". Starają się ponownie je otoczyć, co niejednokrotnie udaje się, o ile zwierz nie poszedł zbyt daleko.

Ale, oto myśliwi słyszą dalekie „pa-szo-oł" i wszyscy zadygotali. Wnet — suchy trzask jednego i drugiego strzału.

Nawet starym myśliwym serce zaczyna kołatać, jakby chciało z piersi wyskoczyć, nogi drżą w nerwowem napięciu i oczekiwaniu, czy wyjdzie na was i skąd się zjawi.

Coprawda pskowicze dzięki doświadczeniu starych myśliwych każdemu wskazują miejsce, gdzie trzeba pilnować zwierza. Ale, po pierwsze, na stanowisku bywa niejedno takie miejsce, a powtóre, zwierz czasami oszuka i doświadczonego myśliwego.

(C. d. n.)



FOKSTERIER JAKO NORNIK.

W republice Czechosłowackiej nie jest foksterier psem pospolitym, prawdopodobnie dzięki małej liczebności zwierzyny drapieżnej. Gdzie się lis pokazał, poluje się nań z naganką, zaś borsuk, rzadki już niezmiernie, jest raczej tolerowany, a nie tępiony.

Przeciwnie na Słowaczyźnie i Rusi Podkarpackiej, gdzie drapieżników jest jeszcze bardzo dużo. Tam foksterier z roli sympatycznego pokojowca przechodzi do poważnej roli pomocnika we wszelkiego rodzaju łowach, głównie jako nornik i ostry dławiec.

Nie mam zamiaru bynajmniej ujmować czci starym, wypróbowanym jamnikom. Pracują one nieraz bardzo energicznie w norze, naogół jednak w ostrości ustępują foksterierom, a jeśli nie ustępują, to są nieliczne wypadki, które można na palcach jednej ręki zliczyć.

Polowanie z foksterierem w norze jest bardzo proste, o ile się ma psa, odpowiednio zaprawionego. To zaś osiągnąć możemy, mając w domu żywego lisa lub borsuka, na którym zaprawiamy co pewien czas młodego ucznia w sztucznej norze.

W Niemczech np. każdy klub hodowców foksterierów ma stale do dyspozycji żywe koty, lisy i borsuki, oraz sztuczną norę, t. zw. Schliefplatz, gdzie członkowie klubu trenują swych wychowańców.

Chcąc mieć dobrego pracownika, musimy przedewszystkiem nabyć szczenię po rodzicach, odznaczonych na konkursach norowąnia. Pochodzace od rodziców mniej wartościowych nie będą nigdy tak dobre, jak po rodzicach odznaczonych, a to dzięki prawu dziedziczności.

Nad szczenięciem należy pracować już od trzeciego miesiąca jego życia, głównie droga zabawy. Zaczynamy od rzucania pomiętego papieru, który szczeniak wkrótce nauczy się przynosić. Potem piłkę pełną rzucamy do płytkiej, sztucznej norki, do której uczeń coraz chętniej będzie wchodził, zaprawiając się w ten sposób do przyszłej karjery.

W piątym miesiącu do normalnej sztucznej nory wpuszcza mu sie dwumiesięczne kocię z przyciętemi pazurkami. Wskazanem jest mieć pod ręką starszego, ćwiczonego psa jamnika lub foksteriera, którego zapuszczamy z drugiej strony do nory, nie wyjmując przegrody.

O ile widzimy, że malcowi ciężko idzie z kociakiem, powinniśmy wyciągnąć przegrodę. Wtedy starszy pies kociaka udusi, przyczem z pewnością malec będzie mu pomagał.

W ósmym lub dziewiątym miesiącu można go już puścić na lisa do sztucznej nory, lecz z drugiej strony przegrody; niech nań uiada i w ten sposób sie roznamietnia. Wprost na lisa puszczamy szczeniaka dopiero miedzy 9 i 12 miesiacem.

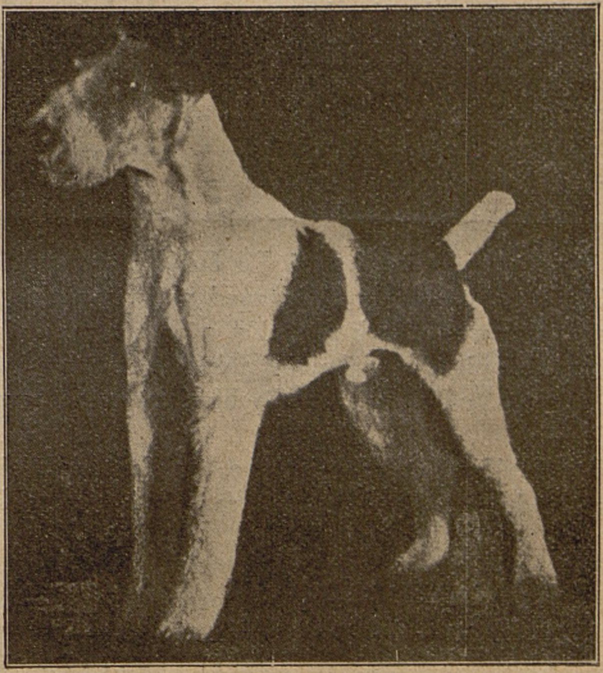
Rzadko kiedy się zdarza, aby młody szczeniak przy pierwszem zetknięciu się z lisem, brał go za gardło, ale wykaże pracę dobrą, zapędzi lisa w kąt nory i tam go oszczekuje, trzymając na miejscu lub da lisowi obrót i wypchnie z nory.

Początkującego psa nie należy brać na borsuka, chyba że mamy pod ręką młodą sztukę i to zawsze w norze sztucznej. Jeśli pies wpija się w borsuka zębami, trzeba norę otworzyć, borsuka wydobyć i przy pomocy kogoś trzeciego, miarowem polewaniem wodą skłonić psa do puszczenia. Na początek podobne ćwiczenia należy powtarzać trzy do czterech razy miesięcznie.

Skoro pies już dobrze i pewnie pracuje, powtarza się ćwiczenia raz na dwa miesiące, mając bowiem psa z wyraźną tendencją duszenia, łatwo możnaby stracić „szkolnego" lisa lub borsuka.

Kto ma dobrego foksteriera, winien uczęszczać z nim na konkursy dla odpowiedniego sklasyfikowania jego pracy.

Zdarza się, że pies zaraz po wyciągnięciu przegrody wpija się zębami, ale zapuszczony po raz drugi, już tylko oszczekuje, lub wpija się w norze przestronnej, a tylko głosi w ciasnej.



Twierdzenie niektórych hodowców, że pies pierwszorzędny jeśli się wpija, to tylko w pierwszej chwili — nie jest słuszne. Weźmy pod uwagę, że zaraz po wyciągnięciu przegrody borsuk stoi w pozycji najdogodniejszej dla psa do chwytu ostrego. Ale gdy borsuk cofnie się w wąski kurytarz, ciało ma kryte, a jedynie mordę nastawioną do obrony, to pies będzie pierwszorzędnym, jeśli w tej pozycji chwyci borsuka lub zapędzi do następnego chodnika i tam chwyci. Pies tedy, który chwyta ostro tylko w pierwszym momencie, nie jest wcale pierwszorzędny i nie nadaje się do konkursów. W jednej klasie taki pies ma szanse odznaczenia, lecz w drugiej często odpada. Najjaskrawiej to występuje w klasie zwycięzców na borsuka, gdzie na życzenie sędziego konkurenci norują powtórnie.

A teraz słów parę o kopaniu lisów i borsuków w norach naturalnych.

Przedewszystkiem pamiętajmy, że pies musi być świeży i wypoczęty, a zatem do nor odległych musi wygodnie dojechać. Należy zawsze wziąć z sobą 2 silnych robotników z narzędziami do kopania i siekierą oraz dwa lub trzy psy.

Czy nora jest zamieszkała, powiedzą same psy węchem. Dla pewności jednak, choćby była zimna, zapuszcza się jednego psa.

Nad norą winniśmy zachować największą ciszę. Lis, który słyszy kroki i rozmowy głośne, porządnie zmęczy psa, nim wyjdzie z nory.

Starannie trzeba opatrzyć wyloty, obstawić je strzelcami, a jeśli który znajduje się w zaroślach, zabić go ziemią.

Psy należy uwiązać w takiej odległości, aby nie robiły jazgotu, dosłyszawszy z pod ziemi głos towarzysza.

Nie zapuszczajmy nigdy na pierwszy ogień psa, który dobrze dusi, bo zadławi, a może nie móc wyciągnąć. Pierwszy ma iść pies ostry, ale nie duszący, lis bowiem zwykle długo nie czeka i wynosi się z nory.

Co innego, gdy się lis zaszyje w barłogu, z którego prowadzi jedno tylko wyjście. Tu musi pies być bardzo ostry, żeby go ruszyć.

Z uchem przy ziemi badać należy przebieg walki i kierunek, w jakim się lis posuwa, bo stąd wniosek, którym wylotem może wyskoczyć.

Gdy pies głosi stale w jednem miejscu, nie pozostaje nic innego, jak kopać. Po dokładnym wysłuchu robi się na półtora metra przed psem szeroki poprzeczny przekop tak głęboko, póki nie przetniemy wszystkich pięter, względnie, póki nie dostaniemy się do miejsca walki, poczem lis błyskawicznie wyskakuje.

Z borsukiem sprawa jest o wiele trudniejsza, a pies odnosi z niej liczne, nieraz ciężkie rany. Borsuka można tylko kopać, nie licząc zaś nigdy na wypchnięcie go z nory, choćby się miało niewiem jak ostrego psa. Owszem, zdarza się czasem, że pies borsuka wypchnie, ale tylko wtedy, gdy go spotka w pojedyńczem przejściu skalnem lub w bardzo płytkiej, nieskomplikowanej norze. W norze o kilku piętrach, na jakie dwa metry głębokiej, skąd nawet głos psa nie dochodzi, stawia borsuk rozpaczliwy opór, a wypędzenie go z nory jest rzeczą niemożliwą.

Kopanie borsuka z pierwszorzędnym dławicielem jest bardzo utrudnione. Pies wgryza się co chwila, borsuk się wyrwie, cofa się, walka wciąż przenosi się na inne miejsce i stąd trudność znalezienia odpowiedniego miejsca do zrobienia przekopu. Jeśli zaś kopanie się uda, a borsuka żywego chcemy wziąć do chowu, po pewnym czasie ginie on z ran. Pies również bywa tak pokiereszowany, że leczy się nieraz parę tygodni, a blizny zostają mu na wieczną pamiątkę. Rany psa należy natychmiast przemyć czystą wodą i zalać jodyną, bywają bowiem często silnie infekcyjne.

Praktycznie biorąc, najlepszy na borsuka jest ten foksterier, który go obstawi i stale głosi, póki się do niego nie dokopiemy, poczem się dopiero wgryza.

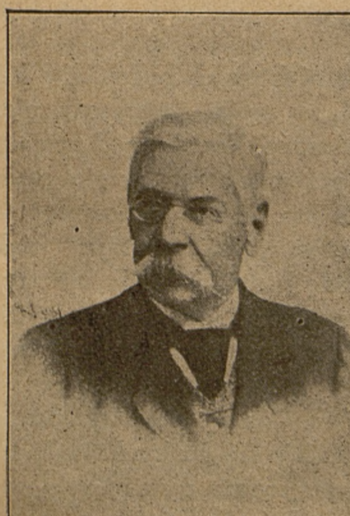
Z takim psem wyniku możemy być zawsze pewni, chyba że nora wiedzie pod wielki kamień lub skałę, której nie da się przekopać.

Foksterier dusi wszelką zwierzynę szkodną, za wyjątkiem wilka i rysia. Żbik, kot, lis, wydra, borsuk, kuna, tchórz — nie robią mu różnicy, nie mówiąc już o drobiazgu, jak łasice, chomiki i szczury. O autentycznym wypadku zaatakowania rysia wspomina nadleśn. Hubalek w swoim cyklu „Z mroków puszcz karpackich". (Łowiec).

Dzisiejsza wreszcie tresura foksteriera umie opanować jego instynkt gończy, nauczyć aportowania suchego i wodnego, wreszcie dzięki doskonałemu wiatrowi, używać go z powodzeniem do tropienia.

WŁ. KARNKOWSKI.

ZAPOMNIANA KSIĄŻKA ŁOWIECKA.


Ś. p. Stanisław Rewieński.

Niedawno wpadła mi do ręki nieznana mi przedtem książka łowiecka, wydana w Warszawie, w r. 1903, czyli bezmała 30 lat temu. Nosi ona tytuł „Przewodnik dla myśliwych", zaś autorem jej jest ś. p. Stanisław Rewieński.

Ś. p. Stanisław Rewieński, ur. w r. 1842, zmarł w r. 1907. Był wychowańcem Dorpatu. Na niwie krajowej dał się poznać jako zacny obywatel, oddany duszą pracy na roli, oraz jako płodny i ceniony pisarz i publicysta. Ogłosił drukiem szereg książek z dziedziny rolnictwa i gospodarstwa domowego — zarówno przekładów, jak i prac oryginalnych. Rewieńskiego interesowało przedewszystkiem rolnictwo oraz hodowla koni i sport koński. Pisywał do „Gazety Rolniczej" i „Korepondenta", był też wydatnym współpracownikiem 11-tomowej „Encyklopedji Rolniczej". Z dziedziny łowiectwa i przyrodoznawstwa łowieckiego ogłosił drukiem następujące

dzieła: „Królestwo zwierząt" podług Brehma, „Przewodnik dla myśliwych" (1903) i „Pies" (1893). Powyższe dane biograficzno-bibljograficzne, jak również podobiznę ś. p. Rewieńskiego zawdzięczam uprzejmości p. kpt. Józefa Wł. Kobylańskiego. Również jego uprzejmości zawdzięczam wiadomość, iż „Przewodnik dla myśliwych" nie jest t. zw. „białym krukiem" w pełnem tego słowa znaczeniu, bowiem można go nabyć w antykwarjatach warszawskich w cenie około 12 zł.

Jako wydawca figuruje na okładce „Przewodnika dla myśliwych" redakcja „Rolnika i Hodowcy". Dla ścisłości bibljograficznej dodać muszę, iż również na okładce umieszczono, jako motto, wiersz Mickiewicza: „Wesoły jak dziecko, jak zbójca krwi chciwy..." oraz cenę książki: „1 rb. k. 50" (dobre czasy!)...

„Przewodnik" zawiera 258 stronic i składa się ze wstępu oraz siedmiu następujących rozdziałów: I. Historyczny rozwój łowiectwa, II. **Ekonomiczne i społeczne znaczenie łowiectwa.** III. Przymioty myśliwego, IV. Broń myśliwska, V. Zwierzyna, VI. Psy myśliwskie. VII. Wrogowie zwierzyny. Jak więc widzimy — „Przewodnik" porusza niemal wszystkie zagadnienia, które interesują, względnie — powinny interesować współczesnego myśliwego. Niezależnie od tych zagadnień zasadniczych, ujętych w osobne rozdziały, na stronach całej książki poruszane są sporadycznie, mniej lub więcej pobieżnie i mniej lub więcej trafnie, wszelkie inne drugorzędne kwestje, mające bliższy lub dalszy związek z łowiectwem. Słowem: — wydana w Polsce przed 28-iu laty książka zasługuje na miano już nietylko podręcznika łowiectwa, lecz wręcz — maleńkiej encyklopedji łowieckiej.

Istotną, rzucającą się w oczy wadą tej książki jest kompletny brak ilustracyj, tak koniecznych dla ożywienia i poglądowego uprzystępnienia każdego podręcznika.

We wstępie, zatytułowanym „Dla czytelnika słów kilka", czytamy te słowa: — „Nie dawniej jak przed wiekiem rutynista rolnik szydził z adepta młodej jeszcze w owe czasy nauki agronomicznej, dając mu lekceważącą nazwę „gospodarza z książki". Lecz w miarę postępu czasu głos tego protestu stawał się coraz cichszym, aż wreszcie musiał umilknąć na wieki i zstąpić do grobu wraz z całem pokoleniem bezwzględnych rutynistów praktyków, nie mogącem już znieść jasnych promieni światła, które nowe słońce nauki rozsyłało na wszystkie strony. I łowiectwo, **jako cząstka gospodarstwa narodowego,** zostało powołane do wzięcia udziału w tej ogólnej ewolucji na drodze postępu..."

W słowach tych brzmi nietylko wyraźne stwierdzenie, że łowiectwo jest gałęzią gospodarstwa społecznego, a nie bezmyślną rozrywką, lecz dźwięczy również prorocza zapowiedź ujęcia łowiectwa jako osobnej gałęzi nauki. Innemi słowy autor przd 30-u laty już stwierdził i przewidział te prądy, któremi my dzisiaj jak atakami grochu o ścianę bijemy w tępy mur społeczeństwa nie-łowieckiego.

W rozdziale „Ekonomiczne i społeczne znaczenie łowiectwa" autor stwierdza kategorycznie, iż łowiectwo przynosi korzyść ekonomiczną, lecz dalsze jego wywody w tej materji są nieco chwiejne i trochę nieśmiałe. Nie należy się temu dziwić, skoro nawet dzisiaj, po trzydziestu latach, spotykamy takich myśliwych (już nie mówiąc o nie-myśliwych!), którzy wzruszają ramionami, gdy im się mówi o gospodarczem znaczeniu łowiectwa. Natomiast społeczne znaczenie łowiectwa zostaje u Rewieńskiego wyraźnie i śmiało uwypuklone. Oddaje on przytem głos... Ignacemu Krasickiemu, cytując jego słowa z „Pana Podstolego":

"... Zysk z polowania największy a pewny — zdrowie; rzadko myśliwy lekarstwa bierze, praca ustawiczna, wstrzemięźliwość, myśl nakoniec wesoło zaprzątniona nie daje okazji, ani czasu do choroby. Uprzedza myśliwy wschód słońca, nie obciąża się więc snem zbytecznym, który pospolicie szkodliwych humorów w ciele ludzkiem przyczynia i krew gęści: agitacja przysparza mu apetytu i łatwą strawność sprawuje. Myśliwych jadło proste, przypraw korzennych nie zna, trunek najczęściej — woda kryniczna, a przeto mało kiedy doznawają skutków wykwintnej żarłoczności..." „...Idźmy dalej do istotniejszych myślistwa pożytków: — powszechne zdanie czyni go wyobrażeniem wojny. Młodzież się więc tym sposobem do kunsztu rycerskiego zaprawia, przywyka trudem, hartuje się na niewczasy, nabiera odwagi, położenia miejsc upatruje, kombinacyj rozmaitych uczy się..."

Optymistyczny panegiryk Krasickiego, który zresztą jest po dziś dzień kamieniem węgielnym społeczno - wychowawczo - higjenicznych walorów łowiectwa, zaopatruje Rewieński w pewne zastrzeżenia, zwłaszcza co do owych „wstrzemięźliwości" i „wody krynicznej"... Tak czy inaczej — jaka szkoda, że dzisiaj po upływie 150 lat od czasu, gdy Krasicki pisał te słowa, musimy łopatą do głowy pakować nie - myśliwym aksjomaty społecznych wartości łowiectwa!

Rewieński, będąc, jak widzimy, zgoła współczesnym adeptem łowiectwa, nie zapomina jednak o praźródle żyłki myśliwskiej, gdyż pisze: — „W upodobaniu tem tkwi **szczątkowy** objaw zadowolenia i chluby pierwotnego człowieka, gdy ujrzał, że przez zręczność swoją i odwagę zdołał zabezpieczyć na jakiś czas przynajmniej byt swój osobisty i rodzinny"...

W dalszych rozdziałach swego „Przewodnika" poucza Rewieński o głównych kanonach etyki (kultury) myśliwskiej, daje rozprawkę, nawet dziś, przy obecnym postępie balistyki, niepozbawioną aktualności, o broni myśliwskiej, następnie w długim szeregu szkiców daje krótkie monografje poszczególnych gatunków zwierzyny, spotykanej na ziemiach polskich, podaje treściwe wiadomości o głównych rasach psów myśliwskich i krótkie wskazówki co do ich tresury, wreszcie — dość szczegółowo mówi o „wrogach zwierzyny".

W tym ostatnim rozdziale autor słusznie wymienia, jako najgroźniejszego wroga zwierzyny — kłusownika. Charakterystycznem jest przytem, że walkę z kłusownictwem rozumie w sposób nader trafny — sposób, który po dziś dzień, niestety, z wielką trudnością toruje sobie drogę wśród wielu rozumnych skądinąd myśliwych. Oto co pisze Rewieński o kłusowniku:

„Taki kłusownik czyli raubszyc tem jest niebezpieczniejszy, że jeżeli wobec wyższej władzy udaje niewiniątko, to przed najbliższem swem otoczeniem wcale się nie wstydzi swego rzemiosła i kryć się z niem nie widzi potrzeby, podobnie jak przemytnik w pasie pogranicznym. Może nałożyć karę pieniężną na raubszyca schwytanego na gorącym uczynku, lub przekonanego o popełnieniu przestępstwa na mocy niezbitych dowodów? Jak się odważyć na taki środek, kiedy w chałupie bieda aż piszczy, a żona i dzieci nietylko chleba, ale i ziemniaków nie mają? Jakaż ostatecznie na to rada?

Prosta, ale w przyszłości skuteczna: konfesjonał, ambona, szkoła i dobry przykład z góry, dobre książki szerzone przez towarzystwa opieki nad zwierzętami, prasa perjodyczna ludowa, wreszcie wytępienie innego rodzaju kłusownictwa, grasującego już nie pomiędzy ludem, ale wśród członków inteligencji wiejskiej i miejskiej".

Czy powyższe sposoby nie są właśnie ową **propagandą łowiecką**, której doniosłością niżej podpisany tak często zawraca głowy czytelników „Łowca Polskiego"? Bez hipokryzji oświadczam, że się cieszę, że nie ja wynalazłem tę „propagandę łowiecką", że już przed 30-tu laty znalazł się dalekowidzący myśliwy, który rozumiał, że represje i inne środki policyjno - etatystyczne są tylko pomocniczymi sposobami krzewienia kultury łowieckiej i że clou działalności łowieckiej leży w akcji społecznej uświadomiania szerszego ogółu o znaczeniu łowiectwa. Przy czytaniu zacytowanych słów Rewieńskiego smutek mnie tylko ogarnął, że widocznie słowa te minęły wówczas bez echa, skoro je dziś znowu musimy powtarzać. powtarzać, powtarzać... Słowa te przeto nic nie straciły na swej aktualności... Zastąpmy tylko wyrazy „towarzystwa opieki nad zwierzętami" wyrazami „towarzystwa łowieckie", dodajmy do wyliczonych przez Rewieńskiego sposobów — radjo, czasopisma codzienne, plakaty, filmy, premje pieniężne i t. p. — a hasło, rzucone przed 30-tu laty ożyje i będzie ognistemi zgłoskami trwać przed oczami współczesnego kulturalnego myśliwca!

W „Przewodniku" Rewieńskiego sporo jest braków. O jednym z nich — braku ilustracyj w tekście — już wspomniałem. Są jednak i inne braki, pochodzące stąd, że w ciągu 30-tu lat wiedza i praktyka łowiecka zrobiły duży krok naprzód, wskutek czego niejedna ze wskazówek Rewieńskiego trąci anachronizmem. Anachronizmy spotykamy i w rozdziale o broni myśliwskiej, i w szkicach monograficznych o poszczególnych gatunkach zwierzyny (np. o głuszcu) i w poradniku tresury psów myśliwskich i w wielu innych miejscach. A jednak wszystkie te braki pokrywa jedna olbrzymia zaleta: — książka jest napisana głęboko i poważnie, a zarazem żywo i barwnie. Rewieński „nie nudzi ucząc", książkę jego czyta się jak ciekawą powieść, nic nie tracąc z powagi przedmiotu. Z tych względów ma ona wspaniałe walory popularyzatorsko-dydaktyczne.

I chciałoby się, by ta książka znalazła się na biurku każdego kulturalnego myśliwego obok „Roku myśliwego" Korsaka, monografij Świętorzeckiego, „Podręcznika łowiectwa" Kamockiego, kalendarzy „Łowca Polskiego"...

Pragnę przeto rzucić pewną myśl. Czyby nie dobrze było, by nasz Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich podjął się nowego wydania książki Rewieńskiego?

Usterki anachronistyczne, o których mówiłem, dałyby się łatwo usunąć w ten sposób, że Związek powołałby komisję wydawniczą złożoną ze specjalistów, z których każdy przepracowałby jeden z rozdziałów tej książki i w wyniku swej pracy napisałby zwięzłe komentarze (w formie uwag lub odsyłaczy — w tekście rozdziałów lub w ich końcu). Komentarze te miałyby na celu poinformowanie czytelników o zmianach zaszłych w ciągu lat 30-tu w ogólnie przyjętych poglądach na tę lub inna kwestję łowiecką. Pozatem pożądanem byłoby zaopatrzyć dzieło Rewieńskiego w odpowiednie ilustracje...

Przypomnienie naszemu światu łowieckiemu zapomnianej książki Rewieńskiego da zysk potrójny. Po pierwsze uboga nasza literatura łowiecka, w której, niestety, dominuje dotąd (niezawsze pożywny i treściwy) element beletrystyczny ze szkodą dla elementu praktyczno - naukowego, pozyska nową pozycję i myśliwy przeciętny dostanie do rąk lekkostrawną a zarazem — głęboką i poważną książkę o łowiectwie. Po drugie, jakkolwiek tylko 30 lat dzieli nas od czasów, gdy Rewieński pisał swój „Przewodnik", to jednak w okresie tym zaszły tak poważne zmiany warunków, w jakich rozwija się nasze łowiectwo, że nowa edycja tej książki „przedwojennej" będzie jakby pomostem pomiędzy dwiema epokami— zawiązaniem węzłów tradycji i spuścizny pomiędzy tymi, co już zeszli z niwy łowieckiej a tymi, co na tej niwie pracują. Po trzecie — Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich dołączy do długiego łańcucha swych zasług nad krzewieniem kultury łowieckiej nowe, zaszczytne i trwałe ogniwo.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI.



WOLNA TRYBUNA.

O WIELKĄ POLSKĄ ZOOLOGJĘ.

Artykuły z ostatnich czasów takiej wartości zoologicznej jak Prof. Janusza Domaniewskiego „Perkoz dwuczubny" (Ł. P. N-ry: 231 24/31 — i Prof. Kazimierza Wodzickiego „O kunie, borsuku i wydrze" (Ł. P. Nr. 9/31), a wiele innych tym podobnych, poprzednich, mówią same za siebie, że stokrotna szkoda, aby ginęły w niepamięci, na równi z gawędami myśliwskiemi!

Zdaje mi się nadto, że nie wystarczy mieć tylko tę egoistyczną satysfakcję, że mamy przyrodników-obserwatorów o prawdziwej naukowej wartości. Przeciwnie, każdą taką pracę należałoby skrzętnie kompilować, zachęcać i prosić o więcej, szukać dalszych specjalistów, — a wszystko z najpoważniejszym celem, aby z biegiem czasu uzyskać kompletny materjał, obejmujący całą faunę polską.

Naturalnie jest to robota wielu lat i nie jednej może generacji naszych uczonych. Mamy już jednak wcale poważny szereg specjalistów-zoologów z czasów przedwojennych [1]) — nie będzie to więc wcale zaczynanie ab ovo — i do dość poważnej części całokształtu rozchodzić się będzie o skrzętne pozbieranie prac już gotowych, a tylko bezplanowo rzuconych w niepamięć.

Bo smutne to, ale rzeczywiste, że wiele nazwisk naszych przyrodników znane jest więcej z ich prac w świecie naukowym zagranicznym — niż u nas!

Młodzi jesteśmy jako odnowione Państwo — nie przychodzi nam więc do głowy i w tym kierunku myśleć patrjotycznie. Przecież powinno być naszą ambicją, by dzieci nasze uczyły się o swej rodzimej faunie nie z podręczników, opartych na niemieckiej nauce — ale, aby Polska stworzyła kiedyś swojego „Brehma"!

Co więcej, jestem zdania, że, jeżeli się rozchodzi o dzieło tak olbrzymich rozmiarów, jakiem musi być wyczerpujące opracowanie całej polskiej fauny — a więc poprostu całej fauny środkowo-europejskiej, nasza zoologja w powyższy sposób powstała, byłaby o tyle lepszą od mimo wszystko wiekopomnej pracy Alfreda Brehma, — o ile gruntowniejszem i dokumentarniej opracowanem byłoby dzieło całego szeregu specjalistów-przyrodników — wobec pracy jednostki, choćby tak wyjątkowej, jaką był niemiecki zoolog.

Dzieło ludzkie nie może być doskonałem; w każdym jednak razie należy przypuścić, że tak powstała nasza zoologja, znacznie mniej chybiałaby wobec rzeczywistości, niż Brehma, który nie mogąc naturalnie osobiście podołać ogromowi zadania, opierał się często na postronnych informacjach; wprawdzie w swej sumienności cytuje on zawsze w takim razie informatora — ale to w niczem wartości informacji nie podnosi.

Przypuszczam, że łowiectwu polskiemu tylko wiele powagi doda inicjatywa w powyższym kierunku; wychodząc więc z założenia, że nasz związkowy organ tego łowiectwa dostatecznie je już co do ilości członków reprezentuje, z drugiej strony, tego organu liczny i z tak poważnych Pracowników złożony Komitet redakcyjny — słusznie doceni, czy nas już stać na wzięcie się do takiego dzieła — jeżeli zaś — tak, to uchwali odpowiednie wnioski na ręce Zarządu naszego Związku Stowarzyszeń Łowieckich.

DR. WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

[1]) Wspomnieć tylko Taczanowskiego, Sztolcmana, Wodzickiego, Dzieduszyckiego i in.

ZAWODY MYŚLIWSKIE W STRZELANIU DO RZUTKÓW W RADOMIU.

W dniu 14 czerwca 1931 roku, z inicjatywy Obwodowej Komendy Przysposobienia Wojskowego i Wychowania Fizycznego w Radomiu, przy poparciu Państw. Wytwórni Prochu w Zagożdżonie i Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, odbyły się w Radomiu, na placu ćwiczeń 72 p. p. zawody myśliwskie w strzelaniu do krążków, zorganizowane przez Komitet ad hoc powołany.

Dzięki pięknej i sprzyjającej zawodom pogodzie impreza ściągnęła na miejsce zawodów licznych zawodników z Radomia, jego okolic i Zagożdżona.

Na program zawodów złożyły się:

K o n k u r s I. Strzelanie o nagrodę Pań. Wytw. Pr. w Zagożdżonie, stanowiącą dla I nagrody — 300, dla II — 200 i dla III — 100 nabojów. 25 rzutków w 5-ciu serjach po 5 szt. Dystans 15 m.

I nagrodę zdobył młodociany zawodnik (17 lat) A. Pułka, z wynikiem 24/25.

II nagrodę zdobył A. Gilles z wynikiem 23/25.

III nagrodę zdobył por. K. Tobola z wynikiem 22/25.

IV nagrodę zdobył T. Obutelewicz z wynikiem 20/25 (przy rozgrywce).

V nagrodę otrzymał p. Zgrzebnik z wynikiem 20/25.

K o n k u r s II. Strzelanie o nagrodę Warszawskiej Spółki Myśliwskiej, stanowiącej te same, co i w konkursie poprzednim nagrody przy tej samej ilości rzutków i tymże dystansie.

I nagrodę zdobył A. Gilles z wynikiem 22/25 (przy rozgrywce.

II nagrodę zdobył p. Zgrzebniak z wynikiem 21/25.

III nagrodę zdobył A. Pułka z wynikiem 21/25.

IV nagrodę dyplom otrzymał H. Piwowski z wynikiem 20/25.

V nagrodę dyplom otrzymał por. K. Tobola z wynikiem 19/25.

K o n k u r s III. Pocieszenia. Strzelanie o na-

grody Radomskich Tow. myśliwskich: a) Praw. Myślistwa, b) Koła „Knieja", c) T-wa św. Huberta, d) Praw. Myśl. „Jeleń", e) T-wa myśliwych „Broń". Nagrody stanowiły: I — 30 zł. w złocie, II — 20 zł. w złocie i III — 10 zł. w złocie. 15 rzutków w 3-ch serjach po 5 szt. Dystans 15 m.

I nagrodę zdobył p. H. Piwowski z wynikiem 14/15.

II nagrodę zdobył p. Lenc z wynikiem 12/15 (przy rozgrywce).

III nagrodę zdobył kpt. S. Bukowski z wynikiem 12/15.

IV nagrodę dyplom otrzymał kpt. K. Jakóbiec z wynikiem 12/15.

V nagrodę dyplom otrzymał P. Romanowicz z wynikiem 10/15.

Poza wymienionemi nagrodami zdobywcy pierwszych 3-ch miejsc otrzymali żetony i dyplomy.

Strzelanie do rzutków odbywało się jedynie nabojami Prochu w Zagożdżonie. Proch ten według opinji licznie zebranych zawodników, w zupełności zastępuje prochy bezdymne pochodzenia zagranicznego.

WŁ. ŻARNOWSKI,
Delegat P. Z. S. Ł. na pow. i m. Radom.

Z MIĘDZYNARODOWEGO TOWARZYSTWA OCHRONY ŻUBRA.

Polski Oddział Międzynarodowego Towarzystwa Ochrony Żubra prosi niżej wymienione osoby o podanie dokładnych adresów. Wszelkie bowiem przesyłki pocztowe, do osób tych kierowane, urząd pocztowy zwraca wskutek niedokładności adresów.

Adresy swe zechcą zgłosić do Polskiego Oddziału Międzynarodowego Tow. Ochrony Żubra, Poznań, Mickiewicza 24, dyr. S. Urbański — Pp.:

Barbara Alberti, Aleksander Duboński, Jan Gawroński, Władysław Górski, Kazimierz Gościcki, Stanisław Waligórski, Stanisław Zaręba, Stanisław Zieliński, Jan Ciborowski, Wacław Jackowski, Henryk Jałkowski, Adam Kozłowiecki, Piotr Kowalewski, Jan Pruś, Władysław Suski, Jan Wyleżyński, Marjan Halpert, Józef Mirowski.

Wiadomości bieżące.

KURS DLA MENERÓW W CZECHACH.

Żupa XII związku św. Huberta zorganizowała jednodniowy teoretyczno - praktyczny kurs prowadzenia wyżła w polu dnia 24 kwietnia 1930 r.

Udział w kursie wzięło 48 myśliwych z 26 psami. Ogólne zadowolenie z kursu było tak wielkie, że postanowiono rozszerzyć go i powtórzyć ze zmienionym programem. Mianowicie myśliwi powinni byli rozdane im zadania z psami przećwiczyć, poczem po tygodniowej przerwie kierownik kursu sprawdził wydaną praktycznie lekcję i poprawił, co było potrzeba. Kurs obejmował: tresurę pokojową, aportowanie, pracę w polu, zachowanie się psa po strzale i wołanie przy zabitej zwierzynie.

Początkowe zainteresowanie malało w miarę, jak zadania stawały się coraz trudniejsze do przerobienia, myśliwi zaczęli się zjawiać bez psów, 15 jednak przeszło z psami cały 8-tygodniowy kurs.

Podczas kursu odbyła się też prowizoryczna wystawa, przyczem menerzy otrzymali praktyczne wskazówki wyceniania cheterieru psa myśliwskiego

Dodatni wynik kursu dał się zauważyć już podczas najbliższych polowań jesiennych, wykazując, że szkolenie menerów jest bodaj ważniejsze, niż szkolenie psów myśliwskich.

W. K.

POMYSŁOWOŚĆ KŁUSOWNICZA.

W jednym z wielkich majątków w Czechach zauważono stały ubytek bażantów, nie mogąc dojść jego przyczyn. Dopiero profesor wyższej szkoły leśnej w Zahupach stwierdził, badając zawartość żołądka padłych bażantów, że przyczyną śmierci był skarmiany jęczmień, którego każde ziarnko przeciągnięte było kawałkiem (1 cm.) końskiego włosia.

O takiem wyrafinowanem kłusownictwie chyba się i filozofom nie śniło.

W. K.

BOBRZYK PIŻMOWY.

„Myopotame caypou", powszechnie zwany nutrią, pochodzi z południowej Ameryki, gdzie żyje w kilku odmianach. Najładniejsze i najcenniejsze dla kuśnierzy zamieszkują brzegi rzeki Uruguaju i Parany). W Europie znane są od 150 lat. Nutria stanowi typ pośredni pomiędzy szczurem piżmowym (ondatrą) a bobrem. Długość wynosi 60—80 cm. prócz ogona (20—30 cm.), waga 9—11 kg. u samca, 7—8 kg. u samicy.

Futerko w lecie zjeżone, prawie kolące, na grzbiecie kasztanowate, po bokach jaśniejsze, na brzuchu bronzowe. Odnosi się to do ogółu bobrzyków — niektóre odmiany bowiem mają pewne odchylenia w umaszczeniu. Podszycie sierści — miękki puch — ma odcień popielato-bronzowy, wpadający w niebieski. Ogon nagi, pokryty łuskami, brudno bronzowy.

Nutria jest gryzoniem. każda szczęka ma po 2 silne siekacze. Samica ma wymiona na grzbiecie, po obu stronach kości pacierzowej, dzięki czemu płynąc swobodnie, karmić może młode.

Jest to zwierzątko nie płochliwe, łatwo daje się oswajać i byłoby bardzo miłe w hodowli, gdyby wystające zęby i brzydki, szczurzy ogon nie sprawiały niesympatycznego wrażenia.

Z gryzoniem tym spotykamy się w Ameryce od południowo-wschodniej Brazylji i Gran-chaco aż do Patagonji, chociaż zamieszkujące brzegi Uruguaju i Parany są, jako futerkowe, najwięcej cenione.

Nutria jest zwierzątkiem wodnem, przeważnie nocnem, a moczary i brzegi jezior dostarczają jej pożywienia wyłącznie roślinnego.

W ostatnich latach rozpoczęto w Europie jego sztuczną hodowlę. Nie jest ona trudną, o ile rozporządza się dostateczną ilością wody.

W. K.

O DOKŁADNY ADRES.

Sz. P. Prenumeratorów prosimy o dokładne podawanie nam adresów. Adres ma zawierać: imię, nazwisko, miejscowość, pocztę i województwo (powiat zbyteczny).

Prenumeratę wysyłać najlepiej na konto czekowe w P. K. O. Nr. 80-82.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery—po 20 gr., najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; ½ — 225 zł.; ¼ — 115 zł.; ⅛ — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Redakcja nie zwraca nadesłanych rękopisów i zastrzega sobie swobodę czynienia w nich poprawek i skrótów. Redakcja nie odpowiada na zapytania, kiedy będzie drukowany artykuł, gdyż zależy to od całokształtu numeru i od posiadanego przez Redakcję materjału.—Redaktor przyjmuje w poniedziałki od godziny 5½ do 6½ wieczorem. Biuro czynne od 9 do 3 i od 5 do 7, w sobotę do g. 3.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.